

Życie nie tylko własne. Tadeusz Walczak (1924-2003).



Florian Śmieja

Jak wspomina w swojej autobiografii „Życie nie tylko własne” Tadeusz Walczak, spotkaliśmy się w Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w Szkocji w grudniu 1945 roku w powojkowym obozie w małej miejscowości Bridge of Allan koło miasta Stirling. Tam to zawędrowała perypatetyczna szkoła z Crieff a przedtem z Glasgow. W nie najszczelniejszych barakach tzw. „beczkach śmiechu” zaczęliśmy razem uczęszczać do pierwszej klasy liceum humanistycznego. Uczniowie tej szkoły tworzyli bardzo mieszane towarzystwo złożone z żołnierzy, marynarzy, lotników i garści cywilów, oficerów, szeregowców, maruderów i kombatanów.

Nasi wykładowcy pracowali z wielkim zapalem niejednokrotnie potrafiąc z surowego materiału wydobyć niespodziewane rezultaty. Łacinnik na klasówkach otrzymywał

tłumaczenia łacińskich tekstów w formie rymowanych odpowiedzi, względnie pisanych staropolszczyzną czy też polskim heksametrem. Gorliwość tę poświadczyło urządzenie wieczoru poświęconego Wergilemu p.t. „Nasz przyjaciel Maro”, wzbogaconego obok istniejących, przekładami uczniów.

Wśród pedagogów wielkim mirem cieszył się Eugeniusz Wietrzny, natchniony historyk oraz sarkastyczny polonista Czesław Bobolewski, ogromnie wymagający, chyba sfrustrowany brakiem kompetentnych rozmówców i piszący samotnie z mozołem skrypt poetyki, a palący się równocześnie do odkrywania wśród swoich uczniów literackich talentów i sekundowania z oddaniem ich rozwojowi.

Latem 1946 roku szkołę przeniesiono dalej na północ nad zatokę Gareloch do miejscowości Garelochhead. Wysoko na zboczach schodzących do fiordu, w którym zakotwiczone stały duże jednostki Królewskiej Marynarki, znane nam już, blaszane baraki powitały chętnych do nauki uczniów, którzy tam mieli kończyć drugą klasę licealną i zdawać egzamin dojrzałości z pobliskim, legendą owianym jeziorem Lomond, za plecami.

W powielanym miesięczniku „Nasze Sprawy” próbowali swoich sił adepci twórczości dziennikarskiej czy zgoła literackiej. Grupy dyskusyjne roztrząsały interesujące tematy, miłośnicy teatru pokusili się o znakomite wystawienie „Dożywocia” Aleksandra Fredry z niezapomnianą kreacją Rózi przez Mieczysława Cudaka.

Z Tadziem zamieszkałem w tym samym baraku, siedziałem w klasie na tej samej, ostatniej ławie. O ile dobrze pamiętam, wcale się nie przechwalał przebyłym szlakiem. Jako piętnastoletni chłopak został w lutym 1940 roku deportowany z rodziną z Wołynia pod Archangielsk, ale zdołał z wojskiem gen Andersa wyjechać do Iranu i przez Irak i Palestynę dostać do Egiptu. Stamtąd w składzie kompanii podchorążych popłynął do Afryki Południowej. Eskortując następnie do Anglii jeńców włoskich na statku „Laconia” został przez niemiecką łódź podwodną storpedowany. Po kilku dniach dryfowania po Atlantyku doczekał się przybycia francuskiego krążownika „Gloire”. Wzięty do niewoli wraz z innymi rozbitkami dowieziony został do Casablanki i osadzony w obozie jeńców w Maroku. Kiedy dwa miesiące później wylądowali tam Amerykanie, uwolniwszy obóz przetransportowali Polaków do Wielkiej Brytanii. W składzie I Dywizji Pancерnej gen. Maczka znalazł się później we

Francji, ale raniony w walkach w Belgii po konwalescencji wrócił do Szkocji na podchorążówkę w Crieff, a następnie zapisał się do Gimnazjum Słowackiego.



Szkocja. Pierwszy z lewej w dolnym rzędzie – Florian Śmieja, w środku tuż za profesorem Wietrznym – Tadeusz Walczak, fot. F. Śmieji.

Dr Roman Szajowski, nasz polonista, starał się nam jak mógł przedmiot swój uatrakcyjnić. Nie zawsze odnosił sukcesy. Wiedząc, że redaguję obozowy miesięcznik, patrzył na mnie łaskawszym okiem z czego i Tadzio korzystał. Nie raz zresztą celnie mu podpowiadałem.

Bardzo dobrze obaj opanowaliśmy język angielski. Z tej przyczyny, jako dwaj reprezentanci I Korpusu ze Szkocji, Tadzio i ja pojechalismy na kurs instruktorski do angielskiego Welbeck Abbey, arystokratycznego pałacu, gdzie czasowo rozlokował się British Army College nr 2. Stara posiadłość sięgająca dwunastego stulecia po grabieży za czasów Henryka VIII pobudowała się w innym stylu, ale dopiero w dziewiętnastym wieku stała się sławna a raczej notoryczna, kiedy dziwak czy szalony książę Portlandu wziął się do gigantycznych robót ziemnych, do budowania ogromnej podziemnej sali balowej, ogrzewanego ogrodu i kilkukilometrowych podziemnych

tuneli, by mógł incognito jeździć swoim powozem. Majątek miał piękne tereny, lasy, ogrody i stawy. Na jego łąkach rozgrywano rytualne mecze cricketa w tradycyjnych jasnych flanelach. W głównym budynku znajdowały się biura, salę balową w podziemiu ozdabiała imponująca galeria obrazów.

Ten ośrodek szkoleniowy, a właściwie przeszkoleniowy, miał za zadanie ułatwić demobilizowanym kombatantom przejście do życia cywilnego. Zaskakujący dla nas był już sam regulamin: do południa, do godziny dwunastej, obowiązywał ścisły rygor wojskowy i skrupulatne respektowanie hierarchii. Na uderzenie zegara zrywaliśmy z głowy furażerki, wkładali ręce do kieszeni i nie dostrzegali żadnych szarż.

Kwaterowaliśmy z innymi Polakami w osobnym baraku. Rano toczyliśmy boje z Anglikami, którzy nam robili wczesną pobudkę i przegląd kwater, ale my, choć na kursie dla instruktorów języka angielskiego, udawaliśmy, że angielskiego nie rozumiemy i ociągaliśmy się z wstawaniem ku bezsilnej furii budzących. Dopiero w ostatnim dniu, dniu wyjazdu, zaskoczyliśmy kompletnie angielskiego sierżanta, który wszedłszy do baraku, by nas groźnie budzić, zastał całe towarzystwo na nogach z wzorowo posłanymi łózkami.

Tadzio w swoim eleganckim, podszykowanym mundurze kaprała podchorążego I Dywizji Pancерnej z czarną patką (jak mówiliśmy, żałobą po utracie koni) udzielał się towarzysko praktykując język, chodził na tańce do okazałej podziemnej sali balowej, grał w tenisa, łatwo dawał się kusić bliskiemu życiu szczęśliwego cywila. Miał już wtedy piękny cywilny garnitur, który nam pożyczał, kiedy robiliśmy fotografie, czy musieliśmy się gdzieś na mieście pokazać.

Naszymi instruktorami byli wytrawni wykładowcy i instruktorzy brytyjscy oraz dwóch Polaków. Demonstrowali nam najnowsze, wypróbowane metody uczenia, dynamicznej ingerencji słownej, ustawicznego praktykowania, kompletnego wchodzenia w atmosferę dyskursu, posługiwania się pomocami. Po intensywnym szkoleniu nastąpiły z kolei nasze popisy i demonstracje nauczonych umiejętności. Pamiętam, jak mnie kazali uczyć formowania zdań podrzędnych i dokładnie proceder objaśniać grupie polskich kucharzy i tzw. „ciurów obozowych”, którzy nie mieli zielonego pojęcia o budowaniu zdań w jakimkolwiek języku.

Obaj ukończyliśmy kurs pomyślnie, a wróciwszy do oddziałów, poszliśmy różnymi

drogami. Jako funkcyjny sierżant-instruktor znalazłem się w końcu w Aberdeen w centrum szkolenia rybaków dalekomorskich. Fama głosiła, że rybacy dobrze zarabiają i szybko mogą oszczędzić potrzebne na studia pieniądze. Może przeczuwałem już wtedy, że zegarmistrzem nie będę, mimo bawienia się w reperowanie zegarków ku uciechu współmieszkańców baraku, łącznie z Tadzkiem, i że niebawem w morzach zabraknie dorsza, bo zacząłem gorączkowo szukać jakiejś mniej drastycznej alternatywy. Po wielu wysiłkach uśmiechnęło się do mnie szczęście. Udało mi się zakwalifikować na studia humanistyczne do południowej Irlandii w miejscowości Cork.



Tadeusz Walczak

Tadzio natomiast studiował ekonomię w Londynie. Obaj zgłosiliśmy się do egzaminu konkursowego, ja go nawet zdałem z wysoką lokatą, ale w końcu przyjęto innych. Mnie tłumaczono, że oficerowie, że zasłużeni, ranni, że jestem młody, mogę jeszcze poczekać. Niepocieszony, nie rozumiałem wtedy błogosławieństwa tej odmowy. Cóż bym ja robił w życiu z ekonomią?

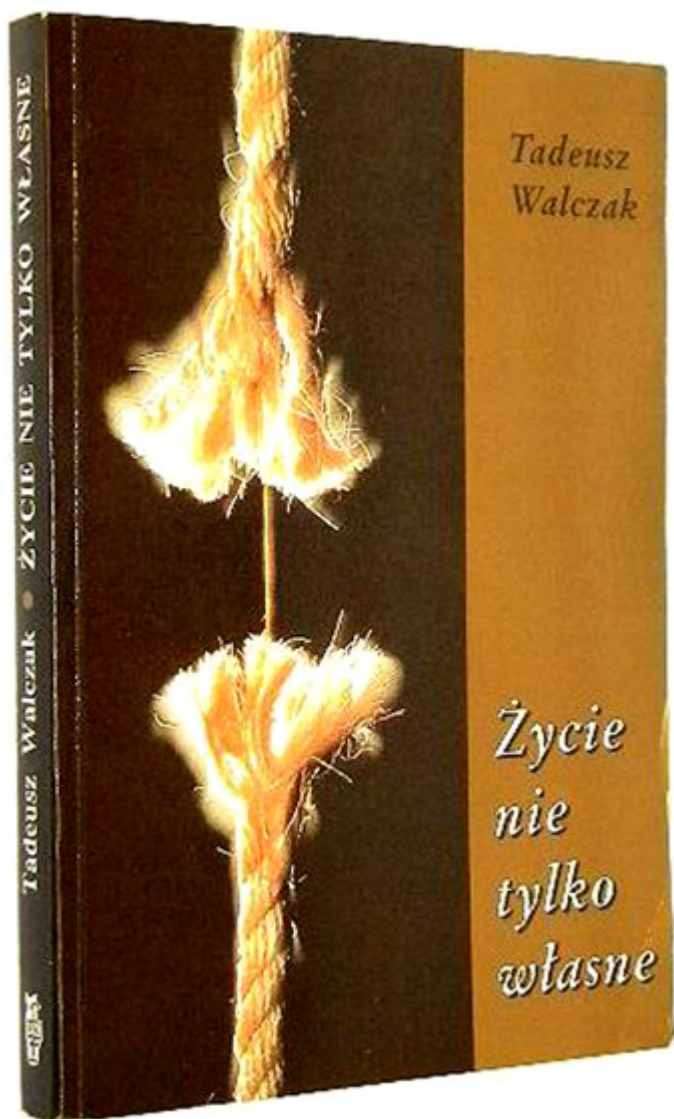
Co innego Tadzio. On miał smykałkę do interesu. Zaczęło się niemrawo. Pamiętam jego sklep prowadzony z żoną Reginą i pierwsze transakcje. Potem zakładał różne firmy. Handlował azbestem. Ustawiło go w końcu szkło, a upadek PRL-u umożliwił

sensowne kontakty z Polską. Miał ogromną satysfakcję, że mógł współpracować z rodakami i pomagać krajowi w godzinie próby. Międzynarodowe sukcesy handlowe i specyfika firmy wymagały częstych i dalekich podróży. Tadzio był wielokrotnie w Chinach obserwując z bliska dynamikę rozwoju tego niezwykłego kraju. Będąc w Turcji zainteresował się Adampolem, polską osadą założoną przez Adama Czartoryskiego w 1842 roku. Píše o niej z melancholią obserwatora posiadającego wiedzę historyczną, oglądającego ostatki szacownej inicjatywy, ofiarę nieubłaganego przemijania.

Jeszcze jedną jego niezwykłą wyprawę trzeba wymienić: odwiedzin po latach posiołka Jeluga niedaleko Kotłasu. W 1993 roku pojechał szukać śladów pobytu w miejscu, do którego w 1940 roku wraz z rodziną wywieziony został na leśne roboty. Zobaczył jeszcze resztki baraków i spotkał niedobitki Polaków, którzy utknęli na tej nieludzkiej ziemi, utracili swój język, lecz zachowali mglistą pamięć o zsyłce i nieosiągalnej ojczyźnie.

W czasie swoich częstych podróży do Polski zajechał do Częstochowy na dzień Patronki uczelni, na której wtedy pracowałem jako gościnny profesor i na doroczny wykład wybitnych gości, w tym wypadku prof. Adama Strzembosza. Współ z prezydentem Ryszardem Kaczorowskim celebrowaliśmy niespodziewane spotkanie w prężnej Akademii Polonijnej.

Wcześniej utrzymywaliśmy korespondencyjne kontakty (bo od 1969 roku zamieszkałem w Kanadzie) szczególnie w czasie powstawania autobiografii „Życie nie tylko własne”. Użyczyłem do książki kilku fotografii z naszej szkoły w Garelochhead, na których byliśmy obaj z wychowawcami i kolegami żałując, że w wielu wypadkach nie potrafiliśmy już przypomnieć sobie niektórych nazwisk, jeszcze jeden dowód na potrzebę skrzętnego notowania w czas dla zachowania pamięci.



Książka Tadzia pięknie podsumowuje żywot jej autora i protagonisty, który z czasem zyskał w Londynie popularność i poważanie i zaczął odgrywać ważną rolę w życiu społecznym emigracji. Przez wiele lat udzielał się w Gminie Londyn Południe. Uhonorowaniem jego pełnego poświęcenia oddania pracy organizacyjnej był wybór w 1976 roku na przewodniczącego Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego. Przez dwie kadencje urzędowania popularyzował swoją organizację jeżdżąc po świecie, często w czasie wyjazdów zawodowych i spotykał się z Polakami na różnych kontynentach, a w stopniu nadzwyczajnym stał się w Londynie duchem sprawczym wielu ważkich akcji polskiej społeczności. W roku 1997 został prezesem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Czy szło o ratowanie zasłużonego tygodnika żołnierskiego rodem jeszcze z ZSRR i Iraku "Orla Białego" czy później "Dziennika Polskiego" czy wreszcie wspieranie polskiej twórczości literackiej, Tadeusz Walczak, wieloletni dyrektor Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego w Londynie, nie żałował ani

czasu, ani środków wsparcia.

Kiedy odbierałem nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Uchodźstwie w 1991 roku, żartowałem, że warto było ongiś w Szkocji podpowiadać Tadekowi na lekcjach polskiego, bo to on właśnie był fundatorem nagrody, która mnie akurat przypadła i spowodowała przylot po odbiór do Londynu z Wrocławia, gdzie gościnnie wykładałem w katedrze Iberystyki.